

No — i ty niegodziwcu, oddałeś tylko dwa zajace? Tak, proszę wielmożnego pana dwa zajace! To jednego, hukaj, niezawodnie zjadłeś po drodze? Ehe he he he! — zaśmiał się głupkowato Orzesio — to wielmożny pan baron jednak nie taki głupi, jak pan radca, bo on tego zgadnąć nie mógł!

## Moja baba nawet djabła się nie boi!

Było to w wieczór sylwestrowy.

Kółko „wesolych“ składało się z pięciu ludzi. Wśród nich prawdziwie polskim wasem wyróżniał się pan Kilecki, który już przed godziną rozdał przygodnym towarzyszom zabawy, swoje bilety wizytowe. Widniały na nich jak byk:

MACIEJ KILECKI,

mistrz kunsztu szewckiego z Warszawy,  
buty na zamówienie a zelówki po 70 kopiejek.

Najgłośniejszym za to z tego niewielkiego grona był Dymitr Dymitriof, który co chwilę miał na ustach: „Urodziłem się w Petersburgu, tam, gdzie sam car-batuszka mieszka, więc znam się na ludziach i na święcie! Mówiono o wróżbach „wróżbach“, czarownikach, wilkolakach, duchach itd.

Dymitr Dymitriof, polknawszy jednym haustem kielich „oczyszczeni“, zaświecił białkami oczu i krzyknął: „Urodziłem się w Petersburgu, znam świat i ludzi i powtarzam i mówię, że nawet sam car-batuszka duchów się nie boi!“

Po tych słowach 6 stopowy i 289 funtów ważący pan Dymitriof powiódł straszonym wzrokiem po obecnych, jakby chciał zapytać:

— Czy jeszcze kto z was nie wierzy?

Tytu przerażonych historji o duchach, guszach, czarach itd. opowiadano tego wieczora, że nikt z obecnych nie śmiał się odezwać, ani też przeczyć Moskalowi.

Wszyscy, biorąc szklanki do ręki, zdawali się milczeniem przyznawać słuszność p. Dymitriofowi, gdy nagle pan Maciej Kilecki gruchnął pięścią o stół i podkreślając sumiastego wasa, huknął:

— Słuchałem tych wszystkich głupstw i baśni przez całą godzinę, ale to wam powiem, że ja jestem Polakiem-katolikiem i w żadne takie bzdurstwa nie wierzę! A jeszcze i to dodam, że nawet moja żona, albo jak zwykle gadam: „moja baba“ nietylko ducha, ale nawet samego djabła się nie boi!

6 stopowy i 289 funtów ważący Dymitr Dymitriof po prostu skamieniał na chwilę, a potem... wyjął z kieszeni 20 rublówkę, i kładąc ją na stole, rzekł:

— Zakładam się o 20 rubli, że ja sam zaraz tak wystraszę pańską żonę, że z domu ucieknie i jeszcze tutaj przybiegnie — jak szalona — błagać o pomoc i ratunek.

Pan Maciej Kilecki rzekł krótko:

— Zakład przyjmuję.

Po tych słowach wyjął 20 rubli i rzucając je na stół, dodał:

— Akurat północ, godzina duchów, więc strasz panie... diable! Mieszkam naprzeciwko na drugiem piętrze i właśnie zauważyłem, że światło w oknie zgasło.

Zanim pan Kilecki skończył mówić, Dymitr Dymitriof, który ongiś próbował być aktorem i był zawsze gotów do różnych sztuczek, zmienił się w jedną chwilę.

Nie upłynęło nawet 2 minut, kiedy przed zdumionymi towarzyszami zabawy stanął już nie Moskal Dymitr Dymitriof, ale (z pozoru) prawdziwy... diabeł. Iście szatańską maskę miał na twarzy, rogi na głowie i płaszcz czerwony a w ustach straszny, plekielny ogień.

— Morowol! — krzyknął pan Kilecki, a potem uśmiechając się pod wasem, dodał:

— Gospodarzu, daj nam co tutaj zaraz na ten Nowy Rok!

Pan Kilecki, spojrzawszy na Dymitriofa, zrobił ukradkiem znak krzyża św. i szepnął:

— Ja sam uciekłbym za dziesiątą górą, gdybym takiego morowego djabła ujrzał o północy a cóż dopiero kobieta!... Przegrałeś panie Macieju.

— Nie! — rzekł z zupełną pewnością pan Kilecki, gdy Dymitr Dymitriof wyszedł.

— Dlaczego?

— Bo moja baba będzie myślała, że to ja teraz po północy wracam do domu!..

W tej chwili rozległ się taki loskot, jakby 10 ton węgla spadały z drugiego piętra, a potem, gwizdająca polcją, a potem wleśono do szynku „djabła“ pana Dymitriofa, z podbitym oknem, rozbitą głową i zlamana nogą.

Pan Kilecki nie okazał dla Moskala najmniejszych sympatii, powiedział tylko:

— Teraz się przekonałeś, że moja baba nawet djabła się nie boi!

Po tych słowach zgarnął ze stołu 40 rubli i nie spojrzawszy nawet na oglupiałego Moskala, powiedział innym towarzyszom zabawy sylwestrowej:

— Szczęśliwego Nowego Roku!

Pan Maciej Kilecki, wesoly i szczęśliwy w tym Nowym Roku niósł do domu cukierki i owoce za przeszło 7 rubli i powtarzał radośnie i dumnie:

— Moja baba nawet djabła się nie boi!

## — DOWCIPY I ŻARTY. —

Tak, jak u siebie w domu.

Jeden chłop przyszedł do kawiarni, stał za stołem, wydobyl fajkę, zapalił sobie, a potem pluje na podłogę.

Kelner widząc to, przyniósł mu spliwaczkę. Chłop zaś pluje na drugą stronę. Kelner myśląc, że ją na tej stronie chce mieć, więc mu ją posuwa. Wtedy się chłop odezwał: „Bierzcie sobie ten talerz precz, bo wam jeszcze nań napluje i tela...“

Zachęta.

Pan Dawid Procent jest agentem Towarzystwa ubezpieczeń od wypadków i w ten sposób werbuje nowego klienta:

— Niech sze pan u mnie zabezpiecza od wypadku, bo to zloty interes. Niech pan sobie naprzykład złamie rękę, to pan zaraz dostaje pięć tysięcy, a złamie pan nogę, to zaraz pan dostaje dziesięć tysięcy, a złamie pan kark, ręce i nogi, to pan jest panem całą gębą...“

Niezwykła moneta.

— Byłeś Janie, po odbiór tych pieniędzy.  
— Byłem.  
— Dostałeś?  
— Dostałem.  
— No, przecież choć przed świętami sumienie go ruszyło... No, dawaj!  
— Kiedy nie śmiem...  
— A co dostał?  
— Dwa razy w gębę i raz w kark.

Traina odpowiedź.

R a b i n: Ny, dlaczego na dachu stawiają na samym czubku koguta, nie kurę?

Z y d e k: Bo jakby kura na dachu jako złościa, to by się rozbiła.

# ŚMIESZEK

## DODATEK HUMORYSTYCZNY

Wychodzi kiedy chce i kiedy mu się podoba.

Dla czytelników naszych darmo a dla innych podwójna cena.

Nr. 2.

Dnia 12 stycznia

1930

## Jak się Franek oświadczył.

HUMORESKA.

Franek był synem gospodarskim. Od samego urodzenia prześladowało go osobliwe nieszczęście. Urodził się bowiem 29 lutego 1896 r.; więc gdy miał co rok stawał się sarszym, on tylko co cztery lata — w roku przestępnym — mógł obchodzić swoje urodziny. Ale, że książdz proboszcz zawsze mawiał: „Każdy koś ma też swoje urodziny — geburstag — katolik obchodził tylko swoje imieniny!“ — więc i Franek zanlechał niemieckiego zwyczaju i zaczął święcić imieniny — na świętego Franciszka. Wten dzień czuł wtedy dokumentnie, że się o rok podstarzał.

Jako chłopiec odznaczał się szczególną nieśmiałością, krył się bezustannie we faldach sukni swojej matki i trzymał się jej fartuszka, a zapytany, nie śmiał ani gęby otworzyć. Gdy gość jaki przychodził na odwiedzinę do ojca, uciekał do stodoły i prędzej nie wrócił, aż gość nie wyszedł.

Przytem był ogromnie niezgrabny, co chwila jakąś proste matce albo komu innemu wyrządzał, dla tego — „trzepaczka“ często musiała być w robocie.

Nieśmiałość jego z latami zamiast się zmniejszać, coraz bardziej wzrastała. Bał się bezustannie, sam nie wiedząc czego, nawet cienia swojego. Rówieśnicy jego nie nazywali go inaczej, jak „dudek“ albo „miękkie jaje“ — z którym trzeba się ostrożnie obchodzić, żeby go nie siłuc, gdyż ledwie się go ruszyło już ci heczał jak na boru.

Cała rodzina wstydzila się go; najwięcej wstydzili się on sam, chociaż nie miał czego, bo był chłopakiem bardzo porządnym i cnotliwym. Policzkę jego były bezustannie czerwoniście — ze wstydu.

Okropnie było mu na sercu, gdy go matka posłała do sąsiedniego domu po jakiś sprawunek, albo z jakimś zapytaniem. Zazwyczaj zapominał o tem, co miał sprawić. Często przy drzwiach obcego domu zalekniony obracał się i dawał drapaka do domu. Gdy zaś przypadkiem drzwi otworzono i pytano go się, po co przyszedł, nie umiał powiedzieć ani ba ani me.

Tak rósł w domu ojca aż do 24-go roku. Na szczęście jego do wojska go nie wzięto, choć był chłopakiem tegim, lecz niezgrabnym, bo pewnieby mu serce przy pierwszym strzale armatnim ze strachu w piety wpadło. Zresztą był bardzo pilny w robocie i ojciec go bardzo chwalił, że ma z niego wielką pomoc w gospodarstwie.

W ten wydarzył się Frankowi nieszczęśliwy przypadek — zakochał się.

Była we wsi cudna dziewczyna, córka gospodarzka, imieniem Weronika; a że była bogatą, wielu młodzieńców starało się o jej rękę, ona jednak wszystkich

odrzucała. Ile razy przechodziła koło okien Franka, serce mu waliło jak młotem z miłości i — ze strachu! Jak się zbliżyć do ukochanego dziewczęcia?

W niedzielę niedzieli wychodził na drogę i przed dom jej, żeby do niej zagadać, lecz gdy ją spotkał sama, głos mu w gardle zamierał — nie śmiał się odezwać. Tylko błagalnym wzrokiem powiadał jej, że ją kocha.

Dziewczyna czuła to bardzo dobrze. To też ukradkiem do niego się uśmiechała, bo chłopak był galantny i urodziwy i dobrą sławę we wsi posiadał; jednak nie wypadało jej, jako porządnie wychowanej pannie, naprzód do niego przemówić.

Wiedział Franek, że uwielbiana jego serca należała do chóru kościelnego, i wieczorem miała czasem lekcje śpiewu z innymi dziewczętami, i że następnie sama wracała do domu. Raz postanowił korzystać z okazji i odprowadzić ją do domu.

Czekał więc na nią na drodze pod drzewem, a gdy przechodziła, zagadnął:

— Weronika!

— Czego chcesz odemnie? — zapytała energicznie dziewczyna.

— Weronika... — powtórzył błagalnym głosem, czując, że twarz jego stawała się czerwoną jak burak.

— No, mówże śmiało! — zachęcała go miłe.

— Jabyim chciał... jabyim sobie życzył... — tu mu się urwało — nie umiał mówić dalej.

— A czego ty chcesz odemnie? — badała zdziwiona.

— Ja... jabyim chciał... iść do domu... — wykrztusił Franek zalekniony.

— To idźże sobie! — odrzekła energicznie, — ja ci nie przeszkadzam.

— Ale... jabyim chciał... to jest niby, jabyim sobie życzył iść z tobą do domu... — i przestraszony tem, co wypowiedział, obrócił się i poszedł, zostawiając śmiejącą się dziewczynę.

Pierwsza próba wypowiedzenia swojej głębokiej miłości nie udała się Frankowi. Nie zwierzył się nikomu ze swojego bólu sercowego, ani też nikogo o pośrednictwo nie prosił; do tego był zanadto nieśmiały. Cóż było począć? — trzeba było czekać innej sposobności.

Rok upłynął. Ojciec Franka umarł i pozostawił mu małe gospodarstwo bez długu. Franek pragnął się ożenić, a żoną jego mogła być tylko panna Weronika. Przypadek chciał, że spotkał ją samą w ogrodzie.

Pochwaliwszy Pana Boga i przeżegnawszy się pod ukradkiem, żeby mu jakoś łatwiej było się oświadczyć, i żeby mieć więcej odwagi, próbował zacząć rozmowę.

— Przyjemny dzień dzisiejszy, — rzekł, trzymając rękę na sercu, żeby mu czasem z miłości i ze strachu nie pękło.

— Tak, — odpowiedziała krótko dziewczyna.  
— Ale chłodno, — ciągnął dalej, już trochę śmielesz.

— Chłodno? — odrzekła, — ja myślę, że jest bardzo parno.

— Parno? — zapytał znieszany; — prawda, tak, tak, parno, bardzo parno.

— Parniej, niż wczoraj, — dodała.

— O tak, parniej, niż wczoraj, — powtórzył, ocierając chustką spocone czoło.

— Ale mnie nie jest gorąco, — dokończyła.

Franek się zakłopotał. Zapomniał zupełnie w jakim celu przyszedł.

— Nastalo długie milczenie.

— Co matka porabia? — przerwała nareszcie dziewczyna.

— Bóg zapłać, zdrowa, — odparł.

— A babusia, co robi?

— Każe cię pozdrowić.

— A bracia, siostry, ciotka Urszula? — badała dalej.

— Bóg zapłać wszystkim zdrowi, — powtórzył.

Znowu chwila pauzy. Dziewczyna po uroczystej minie Franka zgadywała, w jakim celu przyszedł, więc śmiała się ukradkiem.

Chłopak znowu zacerpnął odwagi.

— Teraz, albo nigdy! — pomyślał sobie.

— Weronika — zaczął znowu — przyszedłem...

— Widzę, żeś przyszedł, — przerwała niecierpliwie Franek znowu się onieśmielił.

— Z tą dziewczyną trudno rozmawiać, — pomyślał sobie.

— Przyszedłem, — powląda, — ...przyszedłem, żeby...

— Żeby nic nie mówić, — zaśmiała się z niego.

— Nie śmieję się ze mnie, — rzekł obrażony, — przyszedłem, żeby... żeby... zapytać...

— O la Bogal — dopomogła mu, — czemuż nie mówisz śmiało, żeby się mnie zapytać, czybym twoją tożną nie została? nieprawda?

— Tak, tak, akurat, — podchwycił uszczęśliwiony, — jakieś też to zgadła! A ty co na to?

— No, ja się na to chętnie godzę, — chodźmy do rodziców.

I stało się nareszcie to, o czym Franek cały rok w ukrytości serca swego marzył — zaręczył się z ukochaną dziewczyną. Gdyby mu Weronika oświadczyła nie była ułatwiła, z pewnością byłby pozostał starym kawalerem.

Pół roku potem Franek poprowadził Weronikę do ołtarza. Nieśmiałość swojej jednak, choć jako żonaty człowiek, się nigdy nie pozbył. Bał nawet stać się jeszcze bardziej nieśmiały. Bo żona miała zawsze pierwszy głos; mówiła zawsze za niego, a nawet interesy załatwiała. On trzymał się tylko fartuszek swojej żony.

## Strach ma wielkie oczy.

W Zebrzydowicach, w Małopolsce zabierano się do łowienia ryb w pańskim stawie, a kupiec z Ostrawy posłał swego inspektora z dwoma kupczykami w wieczór przed łowem, aby pilnowali ryb przed złodziejami. Inspektor i kupczycy — jako to zwyczaj Niemców — dawali wielkich suchów i z pogardą mówili o polskich chłopach, co obrażało kilku obecnych gospodarzy.

„Na cóż to panowie!” — zapytał się Michał, oberzysta z Pietrowic — „przywieźliście z sobą fuzję i pistolety?”

„Aby odstraszyć złodziei!” odpowiada inspektor — „dwóch albo trzech się nie boją, bo chłop polski to tchórz; lecz gdyby ich przyszło więcej, przyda się i flinta!”

„Panie! — nie ubliżajcie polskiemu ludowi!” — odzywa się Michał — „bo między nami niema złodziei. Przedejście wieść — ani po chlewach, ani przy domach nie znajdującie zamków, ponieważ są w polskich wioskach zbyteczne! — powtarzam jeszcze raz, że u nas niema złodziei, chyba, że z niemieckich okolic do nas się dostaną!”

— „Ja, jednak nie dowierzam polskim siernięgom!” — twierdził Niemiec.

— „A to myślicie, że polski chłop lęka się waszej strzelby?”

— „Pewnie, bo nie ma odwagi!”

„Założyłbym się z panem o garniec wina, że lada chłop suchym workiem zbije was trzech i strzelby wam odbierze!” — proponuje Michał.

— „Ant dziesięciu Polaków!” odpowiada inspektor, odchodząc z swymi kupczykami ku stawu spuszczonego. „Wiecie co, bracia? — rzekł pan Michał po odejściu Niemców — „przyda się nauczka dla zaudanego zarozumiałych panów!”

Wyszedł z oberży pan Michał, a powróciwszy za chwilę, pokazał się obecnym gościom w swym przebraniu. Zamiast surduta, wdział na siebie krótki kożuch i wysoki kapelusz, jaki w Zebrzydowicach zwykle noszą parobcy, na ramieniu zaś zawiesił suchy worek od maki zbiełony.

„Cóż pan zamyśla?”

— Tym mlechem zbiję Niemców i strzelby im odbiorę! — do widzenia!

Nie wytrzymało ćwierć godziny, powrócił pan Michał — przynosząc z sobą flintę i dwa pistolety, które oddaje do chowania oberżyście, a potem szybko się ubiera w swój surdut.

„Tylko panowie mnie nie wydradzajcie!” —

Za chwilę przychodzi inspektor, lecz jakże wyglądał? — ręce i rękawy pod łokcie zwalane błotem, także i kolana, a reszta surduta zbiełona mąką, jak u jakiego młynarczyka; obaj zaś kupczycy od głowy aż do stóp okryci błotem.

„Tu się pokazało, jacy złodzieje i nawet rabusie między wami!” — lęka zadyszany i wystraszony inspektor.

— „I cóż to pana spotkało? — gdzie fuzja?”

— „Właśnie wystrzeliłiśmy nad stawem, aby złodziei przestraszyć, aż tu nagle napada mnie olbrzymi chłop i wyrwa mi dubeltówkę; usiłując mi się noga i upadłem do błota. A te gapiel!” — odzywa się, wskazując na kupczyków — „stojąc przy mnie, nie ruszyli się na pomoc!”

— „A kiedy nam także wyrwał z rąk pistolety!” — odpowiada jeden z kupczyków.

„I nas gwałtem powalił do błota! — przecież pan inspektor starszy i silniejszy od nas, a dał sobie odebrać wielką dubeltówkę! — cóż miałem ja robić z maleńkim pistoletem?”

— Czy dubeltówka należała do pana? — pyta się ciekawie pan Michał.

— „Jest własnością mojego pana!” —

— „Ej to będzie dla pana kupca niespodzianka! — kochał się w swej fuzji, która — jak się przedemną przechwała! — kosztowała go sto bitych guldenów! — I czemuż pan nie przytrzymał rabusia?” Jakże trzej mogli pozwolić się dać obrać z broni? — pytali się na przemian obecni goście.

„Jakże się pan inspektor wytłumaczy przed panem?”

— „Czy daleko do tutejszego burmistrza?” — pyta się inspektor.

— „Oto pan burmistrz i oto p. radca gminny!” przedstawia pan Michał przelotnych gminy, którzy już od początku bawili w oberży przy szkiance wina, i całego kąścia byli świadkami.

— „Laskawo panowie, słuchajcie się i dodajcie rady i pomocy! — znacie naszą gminę i może domyślicie się kto rabusiem? — lub gdzie szukać dubeltówki i pistoletów mojego pana? jeżeli dostanie napowrót broń, z radością zapłacę trzy garnce wina!”

„I każećcie dla nas wszystkich ugotować ryb na wieczorek?” — pyta się pan Michał.

— „Z radością to przyrzekam!” — odpowiada inspektor.

„Niech się pan umyje i oczyści z błota!” — rzekł p. burmistrz — „my tymczasem rozpatrzmy się w włosel!”

Burmistrz z radcą odszedł a z nimi p. Michał.

Uplynęło kilka minut, aż tu naraz powracają, prowadząc z sobą jakiegoś chłopca w krótkim kożuchu, wyokim kapeluszu i zmęczony miech na ramieniu.

„To rabuś, który mnie napadł?” — krzyknął radośnie inspektor — „ty galgan, ty złodziei!”

Mniemany rabuś zdejmując kapelusz i uśmiechając się, pyta zmieszanego Niemca: „więc ja olbrzymi rabuś?” — hahaha!

Inspektor poznaje p. Michała i zawstydzony bełkoce: „więc to p. Michał? — Nie inaczej! — chciałem dowiedzieć panu inspektorowi, że Polak i trzech w palną broń uzbrojonych Niemców każdego czasu próżnym workiem wystraszył!”

Ogólna wesołość panowała w oberży, a wreszcie i inspektor z swymi kupczykami także się śmiali, aby pokryć swój wstyd.

„Ładny to żart! — powiedział inspektor — „i chętnie placę 10 kwart wina!”

— „A ryby na wieczorek?” — upominał się pan Michał.

„I te ofiaruję! — zapłaciłbym z radością nawet 20 kwart wina, gdyby p. Michał innemu taki figiel był wypłatał, a nie mnie. Niniejsze zdarzenie zaszło przed 20-tu latami w Zebrzydowicach, i żyją jeszcze wszyscy świadkowie owego wieczora?”

F. M.

## Madry sługa.

Pan baron wyprawiał polowanie. Stawiło się gości mnóstwo i ubili zwierzyzny, co niemłara. Żalowali tylko wszyscy, że pan radca Moczyłoro nie mógł być obecnym, bo wielkim był łubownikiem polowania, a tu jak na złość, w sam dzień polowania zjechał wojewoda i trzeba było we frak się ustroić i witać i żegnać, a polowanie poszło mimo nosa.

Nazajutrz z rana woła pan baron Grzesia i powląda: — Zanieśiesz oto te trzy najplekniejsze zajace panu radcy do miasta i oddasz mu ten list. A zwiłaj się, abyś wieczorem był w domu!

Grzesio wziął zajaca w kosz list włożył do kieszeni i czeka.

I czegoż jeszcze czekasz? — pyta go pan baron.

Proszę wielmożnego Pana barona — bo to do miasta dwie mile drogi — a i cały dzień czasu...

Aha — rozumiem! — uśmiechnął się baron — no, masz tu dwa złote, to się pokręp jak ci będzie potrzebne!

Poszedł Grzesio i znakomicie nogi wyciągnął, a przyspiewując sobie marsza Taczanowskiego:

„Marynia ma dukaty, dukaty, dukaty” — potrząsał w taktu zajacami w koszyku.

Ostro szedł — to prawda, ale się też spocił potężnie i pragnienie zaczęło mu dokuczać. Przed miastem był zajadł i taka niby oberża, gdzie wracając do domu, gdy pana swego odwoził do miasta, nieraz wypił kufelek piwa. Na tablicy nad drzwiami wymalowana była szynka nakrajana, rząderek butek, śledź na tacierzu, kilka buktelek, kieliszek i kufel z piwem musującym — spojrzawszy na tę tablicę, a polykając ślinę, pomyślał:

— Mam wypożyczyć po interesie — wypożyczyć sobie przed interesem! I wszedł do oberży.

— Jak się masz! — odezwało się kilka głosów i nie zdążywszy siedział już Grzesio pomiędzy znajomymi i wypity z nimi kieliszek „esencji”, zabierał się do świętego nalanego kufła. Zarazem dowiedział się ku wielkiemu zgorzzeniu, że dziś u gospodarza jedzenie tylko jest na tablicy, że jeszcze nic w mieście nie zakupił itd., a apetyt u wszystkich był niezły.

W esencji był mały djablik, w piwie drugi — jedemu szepnął do ucha: „Eh, co tam! Dwa zajace, to dosyć dla radcy — będzie się z nich aż nadto cieszył!” A drugi szeptał: „Poczęstujesz ich zajacem, to i oni poczęstują cię piwkami, a ty nic nie stracisz!”

Usłuchał podszeptów — wstał i zaprosił wszystkich na śniadanie — gospodarza też, za co ten mu bezpłatnie kazał zajaca przyrzadzić.

Nie trwało dwóch godzin, a całe towarzystwo palaszowało pieczeni zajacem, aż nic nie pozostało, prócz Grzesia, któremu na pochwałę to trzeba powiedzieć, że ze względu na ważność misji, jaką miał przed sobą, nie pił wiele i dobrze się trzymał.

O godzinie drugiej po południu poszedł Grzesio do pana radcy i oddał list i zajace.

Tu tylko są dwa zajace! — rzekł pan radca po przeczytaniu listu.

Tak, proszę wielmożnego pana, dwa zajace! odpowiada Grzesio najspokojniej.

Ale pan baron pisze mi, że przysyła trzy zajace? Tak, proszę wielmożnego pana, trzy zajace!

A tyś tylko przyniósł dwa zajace!

Tak, proszę wielmożnego pana dwa zajace!

Stuchaj chłopcze — pan baron kazał ci przynieść trzy zajace?

Tak proszę wielmożnego pana trzy zajace!

No — i ty mi przynosisz dwa zajace!

Tak, proszę wielmożnego pana dwa zajace!

Ale przecież pan baron dał ci trzy zajace?

Tak proszę wielmożnego pana trzy zajace!

No — patrz — a tu tylko są dwa zajace!

Tak, proszę wielmożnego pana dwa zajace!

Patrzył pan radca przez chwilę na Grzesia, potem pokiwiał głową, potem napisał liścik do pana barona i oddając go Grzesiowi rzekł:

Tu masz list do pana barona, a tu masz dwa złote za drogę. A pamiętaj, że jeżeli gdzie na targu sprzedawać będą rozum, to go sobie kup za tyle pieniędzy, ile tylko masz, bo ci go okrutnie potrzeba!

Poszedł Grzesio z lekkim koszem i lżejszym sercem i wieczorem stanął w domu. Pan baron przeczytał list i pyta zdziwiony:

Jakto? Zanieśeś tylko dwa zajace?

Tak, proszę wielmożnego pana dwa zajace!

A przecież miałeś zanieść trzy zajace?

Tak, proszę wielmożnego pana trzy zajace!